№ 20.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1841. Poznań, dnia 29. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Posłuchanie.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Na dziedzicznéj wiosce swojéj mieszkał szlachcic, głośny między sąsiadami z dobrych koni, lubiony i poważany z gościnności. Nie znał kłopotu, bo się miał dobrze, przytém był wdowcem i bez dzieci. Samotność domową w dnie powszednie zbywał dozorem gospodarstwa i czytaniem gazety; cieszył się, kiedy widział piękne rosłe konie swoje, i kiedy wyczytał, że się ma w świecie na wojnę; wśród obiadu usługujący mu Macioś zwykł go był zabawiać opowiadaniem nowin starych i świeżych, i słyszał w zamian od pana, co piszą gazety. Niedzielą i w święto, po wysłuchaniu nabożeństwa, wyjeżdżał w gościnę do sąsiadów, albo ich miał gośćmi u siebie; tu się nagadał, nabawił na cały tydzień. Do stolicy rzadko wyjeżdżał, tranzakcyi świętojańskich nie robił, bo nikomu nie był nic winien, ani nikt jemu. Za to nie opuścił żadnego jarmarku w pobliskich miasteczkach, nie tak z interesu, jak aby się z sąsiadami zobaczyć, zabawić, uraczyć.

Wśród takiego życia, wypadek następny zamięszał jego spokojność. Nie mając własnych dzieci, na synowca, jedynego potomka po mieczu i przyszłego swojego spadkobiercę, obrócił wszystkie starania i zabiegi; a że się chłopcu już wąs sypał, upatrzył dla niego bogatą i nadobną panienkę na przyszłą towarzyszkę życia, i nie od tego była panna i rodzice. Ale panicz, młokos i zawalidroga, nabył się pojedynku i poszedł wyrokiem na dwa lata do fortecy, a do panny tymczasem nalazł się inny z opodal. Można było przewidzieć, że dopnie swego, skoro mu dawniejszy ustąpił placu. I stryjaszek tego się lękał: uważał, że kawalerów jakoś teraz mniéj na świecie, a panna już nie młoda nie będzie chciała za synowcem dwa lata na niepewne czekać, mogąc zaraz dostać wolnego adonisa. Widział go był niedawno na imieninach w sąsiedztwie, jak tam napiętéj synowicy jego fałdy przysiadał, ją jednę bawił, z nią jedną tańczył; a mając go z ukosa na oku, musiał przyznać na swoje utrapienie, że chłopiec i grzeczny i urodziwy i żywy pannie podobać się może. Na takie periculum in mora nie było ratunku, jak usłuchać poszeptu jednego z sąsiadów i wyprosić u króla dla synowca ułaskawienie, a przynajmniéj wolność wrócenia do domu na parę miesięcy; wtenczas interesu dotrzeć, przybysza odsadzić, z panną się zaręczyć i intercyzę zaraz zrobić. Ale dla prędszego i pewniejszego prośby skutku trzeba było osobiście pokazać się u dworu. To twardy był na zęby naszego ziemianina orzech. Ani mu przez myśl nigdy nie przeszło, aby miał kiedy stanąć u stopni tronu, który sobie wystawiał w jasności majestatu, rażącéj oczy występującego z ciemnego zacisza ziemianina. Tymczasem miłość do synowca, chęć przeprowadzenia raz ułożonego planu, przemogły. Postanowił sobie nareszcie odważyć się na krok, który uważał w życiu swojém za najważniejszy. Wszystko do tego u siebie przygotował, kazał sobie zamówić w stolicy mundur obywatelski i całe galowe ubranie, a jeden z najlepszych mecenasów za 20 czerwonych złotych zjechał napisać suplikę do tronu. Był to czas niezwykłego ruchu w domu, w którym, kiedy gości nie było, jednostajna zawsze panowała spokojność. Posłańcy i konie ciągle były w drodze, zwoziły i odwoziły to doradzców, to mecenasa. Zdumiona czeladź poszeptywała sobie, że to pewnie jegomość na stare lata my-

śli się żenić, i żałowała szczerze dobrego pana, że już teraz tak w zamysłach chodzi. Istotnie myśl owa zastraszająca, że ma przed królem stanąć, tak go ciągle dolegała i niepokoiła, że i niedojadł i niedospał, i o ulubionych koniach swoich i o gazetach nie pamiętał. Wyjechał nareszcie na dzień, w którym ubranie miało być gotowe, do stolicy, nazajutrz był dzień audyencyonalny na zamku.

Im bliżéj miasta dojeżdżał, tém go lękliwsze przejmowało uczucie — byłby może poniechał wszystkiego i nawrócić kazał, gdyby nie wstyd przed sąsiadami, którzy o celu podróży jego już wiedzieli. Stanąwszy w oberzy posyła po krawca a razem liweranta całego galowego stroju. Chętny natrafieniu jakiéj takiéj przeszkody, aby zwlec nieszczęśliwe posłuchanie, radby był temu, żeby rzeczy jeszcze nie były gotowe. Tą myślą zajęty stanął przy oknie, pojrzy na ulicę, aż tu Macioś zdąża, z nim krawiec, a tuż za nimi krawczyk ze sporém na ramieniu zawinięciem.

»Czy go licho nadało z taką punktualnością,« — pomruknął i niebawem ujrzał galową dla siebie garderobę. Zwyczajny ubrać się bez utrudzenia, nie chciał przymierzyć rzeczy aż dnia następnego, aby dwa razy przykréj dla siebie nie podejmować pracy. Już tylko noc jedna przedzielała go od dnia, w którego świetle miał ujrzeć oblicze monarchy. Nie dospał, i za pierwszym brzaskiem, kiedy jeszcze wszystko spało, a po ulicach miasta było głucho i cicho, pobudził całą oberzę na usługi do galowéj toalety swojéj. Stary Macioś, co od lat kilkunastu panu swojemu zawsze co rano szarą wołoszkę, spodnie o jednym guziku, bóty jałowicze, długą kamizelkę, a na uroczystość czarny kontusz z litym pasem do ubrania szykował, dziwił się niepomału, gdy go teraz miał ubierać w jedwabne pończochy, ciasny trzewik, krótkie opięte spodnie i mundur świecący guzikami i szlifą.

»To złe jakie zmyśliło ten ubiór,« rzecze wygalowany nareszcie szlachcic — »nietylko człowiek uczciwy wygląda w nim jak dziwak, ale i pełno ma niewygody: ten kołnierz sztywny uszy mi obetrze, gardziel i pierś tak spięta, że mi tchu nie staje, z wierzchu ramion cisną szelkowe popręgi, od spodu rzną ciasne rękawy, trzewik ściąga stopę, a w tych pończochach nogi mi się nagie wydają. Dobrze że nie zima, bo tak ubrany i z tym kapelusikiem, zamiast mojéj barankowéj czapki, zmarzłbym przed audyencyą jeszcze. Ha! cóż robić — nie jedyne to głupstwo na świecie. Każ zajechać Maciosiu!«

»Panie, jeszcze nie ma osméj, a o dwunastéj pono dopiero czas do zamku.«

»Prawdę mówisz; cóż ja ubogi w tym stroju przez te cztery godziny pocznę?!«

W przykrém oczekiwaniu chwili, którąby rad jak najprędzéj mieć po za sobą, zbliżyło się i południe. Zajechał przed pałac, wysiada, i gwałtem sili się poskromić dreszcz, co członki jego przejmuje. Odźwierny odprowadza go do przedpokoju, którego podwoje szeroko rozwarłszy, nazwisko wchodzącego w głos wymienia i sam z laską odsadzoną stanąwszy przy podwojach, czeka, aż mimo niego przejdzie. Nie oswojony z tonem dworzanina ukłonił się bardzo grzecznie odźwiernemu za taką dla siebie attencyą. W przedpokoju tłum twarzy obcych go uderzył, wszystkie ku niemu obrócone, i wszystkie w niego wystrzelone oczy. Zmięszany kłania się i dopiero postrzega, że w roztargnieniu kapelusza z sobą z powozu nie wyniósł. Wraca albo raczéj ucieka z przedpokoju, za nim dworzanie, których głośny śmiech rozległ się po kurytarzu. Pojazd był już odjechał, starego Maciosia nie było, zwierza się więc z swoim kłopotem odźwiernemu. Tu nauczony, że do audyencyi nikt kapelusza ze sobą nie wnosi i musiałby go i tak w przedpokoju zostawić, wraca ze wstydem stanąć przed osobami, których co dopiero stał się pośmiewiskiem. Po chwili najokropniejszego położenia, kiedy go każdy z wysoka wzrokiem mierzył, a poszepty i tłumione chichotania obijały się o jego uszy, wyszedł z bocznych drzwi szambelan, a pomówiwszy z tym i owym przystąpił do stojącego na ustroniu z powarzoną miną suplikanta, pytając uprzejmie z tabliczką i ołówkiem w ręku o nazwisko, charakter i interes. Powiedział pierwsze i ostatnie, a pytanie o charakter biorąc ze strony moralnéj, i ujęty przytém przymiloną pytającego twarzą, zaczął być z zapałem obrońcą swojéj uczciwości. Słuchający go półuchem, półuśmiechem szambelan, nie czekając końca trochę przydługiego wywodu, przeprosił i odszedł. Zostawiony znów sam sobie, czuł, jak mu lica całe gorączką pałały i nogi na niepewném chwiały stanowisku; do tego przyzwyczajony ręce trzymać w kieszeniach wołoszki, przy opiętém i jakby niezupełném teraźniejszém ubraniu nie wiedział gdzie je włożyć, co z niemi robić, wyraźnie mu zawadzały. Zbliżyło się wreszcie kilku dworzan do niego, aby go wybadać, albo co pewniéj wziąść na fundusz. Przenika ich zamiary, a jednak nie śmie jakąkolwiek narazić ich sobie niegrzecznością i spokojnie odpowiada na pytania czynione nie z udziału, ani nawet z czystéj ciekawości. Nie znający obłudy w obcowaniu, spowiada im się rzetelnie z wszystkiego, i nie zadługo przedpokojowce wiedzieli, że przyjechał prosić króla o łaskę dla uwięzionego synowca, którego

bogata chybi partya, jeżeli choć na niejaki czas uwolnienia z fortecy nie zyska, aby dotrzeć ożenku. Można się domyślić, do jakich żartów, ucinków, wypytywań szczegółowych okoliczności, ta poczciwego ziemianina dobroduszność chciwéj takiego kąsku czeredzie dworzan dała otuchę. Nabawiwszy się do woli, jak go otoczyli bez udziału, tak odstąpili bez względności. Zdraźniony do żywego, przeklinał w duchu zwyczaje i ton dworski, wspomniał na znaczenie swoje między sąsiadami, i bolał na nikczemność roli, w któréj tu występował. Radby dla spędzenia nudów chciał z kim pomowić o gospodarstwie, o swoich koniach, a zresztą o polityce, bo jak się powiedziało, pilnie czytywał gazetę, i nie tak dawno na jarmarku przy omeszałym gąsiorze dowodził, jak niezawodnie na wiosnę z Turcyą nastąpi wojna; jakby się tu mógł popisać płynném powtórzeniem wszystkich tych politycznych kombinacyi; — ale w żadnéj twarzy nie czytał téj co u sąsiadów szczerości, tego naturalnego interesu w słuchaniu, nic go do tych figur fałszem umilonych nie przyciągało, dla tego wolał milczeć i nudzić się. Żywa naraz w pobliżu jego rozpoczęła się dysputa, przemógł wstręt i już więcéj ośmielony zbliżył się ku stronie tych osób, co najwięcéj już byli ż nim rozmawiali. Lecz nikt na jego zbliżenie się nie uważał, a że gadali pół ojczystym, pół obcym językiem, nie rozumiał o czém mówią, wrócił na dawne miejsce, gdzie przynajmniéj było się można oprzeć o narożnik muru i znużonym długiém staniem ulżyć nogom.

Po dwugodzinném czekaniu przypuszczonym nareszcie został na posłuchanie przed króla, który w zwykłéj sobie uprzejmości raczył odebrać suplikę, o najwyższéj łasce swojéj go zapewnić, i po dwuminutowéj audyencyi lekkiém skłonieniem głowy odprawić. Przygotował się był nasz ziemianin na mówkę, którą chciał siebie i synowca swojego nieograniczonéj i wszystkomożnéj protekcyi jego królewskiéj mości i pana miłościwego polecić, napisał mu ją był ów sąsiad, téj audyencyi doradzca, wypisaną z niejakiemi odmianami z mowy, jaką niegdyś pradziad jego, poseł ziemski, miał na sejmie do króla. Ale, czy to, że monarcha najłaskawiéj naprzód już przychylenie się do prośby oświadczył, czy że suplikant w pierwszém wrażeniu uszanowania i bojaźni, na początek przemowy natrafić nie mógł, częstemi a niskiemi ukłonami zastąpił wymowne słowa i rad był w duchu tak spiesznéj odprawie. Wracając przez przedpokój, a śmielszy już po odbytém posłuchaniu, w uczuciu wróconéj sobie niezawisłości i dumy, ani spojrzał na żadnego z tych, u których przed chwilą sam w tak małém był uważaniu. A choć ten rodzaj pomsty śmiech wzbudził między dworzanami, pomyślał przecież sobie na pociechę: »śmiéjcie się teraz, aż wam się gęby pokrzywią, mnie tu już drugi raz nie ujrzycie.«

Jakże się ucieszył, gdy na dziedzińcu znowu swojego Maciosia i swoje konie zobaczył. Wsiadł czémprędzéj, aby tylko wyjechać z dziedzińca i z lżejszém już sercem wracał do oberzy. Tu zrzucił z siebie natychmiast opięty strój galowy i wszystkie więzy szelek, spięć, sprzążek, trzewików; a ubrany znowu w wygodną szarą wołoszkę i przestworne jałowicze bóty, i oddawszy sprawę synowca swojego opiece boskiéj, zszedł na dół do sali jadalnéj i pierwszy raz po wielu tygodniach, bo i nigdy tak nie był wygłodzony, zajadał smacznie obiad. Usługujący mu Macioś, według zwyczaju rozpoczął gawędkę, i z uniesieniem obrażonego honoru opowiadał, jak ta zamkowa służebna gawiedź, dumna na swoje galony i herby guzikowe, potyrała nim, poczciwym jegomości sługą, jak mu kazano wyjść z pokoju, jak go nareszcie ów dziwak przy bramie z poprzek na głowie ustawionym dwurogatym kapeluszem, z przepaską na pół łokcia szeroką a do kolan długą i z potężną gałkową laską, wyparł nawet z kurytarza.

»Tak, tak, mój Maciosiu; z nas żyją, a nami potyrają. Będziem sobie znowu panami, byle wrócić na wieś.«

Jeszcze na noc pospieszał do domu, a co nie mógł spać nocy poprzedniéj na wygodném łożu, dospał otulony w futro w narożniku powozu. Przyjechawszy wraz ze dniem, obejrzał gospodarstwo i stajnie, i pochwalił za dozór domowników, przeczytał zaległe gazety i nazajutrz zaprosił do siebie na obiad sąsiadów. Wśród ich grona dał folgę zdraźnionym dworską obłudą uczuciom, a po należytém wykarceniu zwyczajów tak obmierzłych, rozwiódłszy się potém o potwierdzających się widokach na wojnę z Turcyą, sowicie sobie znoje audyencyonalne wynagrodził. Potakiwali goście i toczyły się rozmowy raźniéj, weseléj, niż kiedykolwiek. Macioś coraz świeże stawiał na stół gąsiory starego wina, a pan rozrzewniony ściskał każdego i płakał z radości, że mu Bóg dał takich sąsiadów, z którymi otwarcie i bez obłudy nagadać i zabawić się może. Już kur piał na świtaniu, kiedy się rozjeżdżano, a uszczęśliwiony gospodarz, jeszcze na progu, jeszcze na stopniach powozów nalewał kielichy i poił odjeżdżających, powtarzając często: »pijcie szczerze, bo szczerze daję — przecież my nie dworzanie!«

Rozjechało się wszystko, a podchmielony dobrze onegdajszy suplikant, gdy go Macioś na spoczynek rozbierał, z tém się położył zapewnieniem, że drugi raz już tam pewno nie pojedzie.

»Bośmy też tam panie pono byli niepotrzebni...«

»Prawdę mówisz Maciosiu;« były ostatnie jego słowa, na pół drzemiącą wymówione przytomnością — »choćby i naszego synowca nie wypuszczono, i choćby on nigdy się nie ożenił, już drugi raz tam nie pojedziem.« *M. z Gr. Wę.*

Pomysły do wychowania ludów.

(Ciąg dalszy.)

5. Część praktyczna.

Od czasu, jak się ludy częścią we wielkie gromady ścisnęły na małych przestrzeniach, częścią w drobne gromadki rozsypały na większych ziemi obszarach, podzieliła się ludność każdego narodu na dwa wielkie działy: na ludność wiejską i miejską, pod względem wszystkich stósunków całkiem od siebie różną. Pierwsza jest żywicielką plemienia ludzkiego, niejako matką troskliwą o dobro męża i dziatwy; niejako gospodynią zaradną na kuli ziemskiéj, by był dostatek w domu; i dla tego skrzętnie zachodzi około roli, będącéj spiżarnią narodów, uprawia ją w pocie czoła, rzuca ziarno nasienne, aby stokrotnym wrócić je sobie plonem, zbiera ten plon i wydziela między łaknących. — Ludność miejska przeciwnie kieruje domem, prowadzi rządy ziemi, stara się o majątek, którym jest przemysł i oświata, złożona w naukach i sztukach pięknych. Jest zatém gospodarzem na kuli ziemskiéj, do ludności miejskiéj zostaje w stósunku męża do żony. Siła moralna jest zatém w mieszkańcach miast, materyalna w rolnikach.

Jako więc różne jest i być powinno wychowanie płci męzkiéj i żeńskiéj, bo różne jest każdéj z nich przeznaczenie; tak i wychowanie owych dwóch połowic narodu powinno być różne. W stanie patryarchalnym narodów różnice te same się wydzieliły. Ludy nomadyjskie inne brały wychowanie i inne rozwijały wyobrażenia, niżeli ludy rólnicze, te znowu inne, niżeli narody handlowne. Podział ludu na kasty, który postrzegamy w pierwszych zawiązkach historyi, u Indów i Egipcyan powstał z téj naturalnéj potrzeby, osobnego wychowania w osobnych zawodach życia, chybiał tylko w tém, że krępował wolę człowieka. Kasty istnieją i dziś, jak istniały dawniéj; stan duchowny, stan wojskowy, stan włościan, stan obywatelski, stan kupiecki, nauczycielski i t. p., każdy osobnym jest nacechowany charakterem, osobny w nich duch, osobne pojęcia; tylko że dobrowolnie człowiek w kasty te wstępuje, i otwarta mu droga przejścia z jednéj do drugiéj. Aby tu wola człowieka niczém nie była krępowana, jest właśnie zadaniem emancypacyi stósunków spółecznych. Każdy tém być powinien, czémby być mógł, a to nastąpi, jeżeli każdego, nie tylko droga do ukształcenia się będzie otwarta, ale i dane będą do tego środki.

Równa zatém w rozwijaniu przyrodzonych zdolności dla każdego sposobność, równa dla każdego doręczność środków, pokazuje się być zasadniczym warunkiem wychowania ludów. Wtenczas dopiero zrównają się ludzie we wartości swojéj, kiedy się zrównają w środkach wychowania; kiedy syn i córka najbiedniejszego wyrobnika, będą mieli tę samą sposobność, te same środki ukształcenia się, jaką będą miały dzieci majętnego obywatela; kiedy to oraz takie będą środki, na jakie żadnego z prywatnych, by był najmajętniejszy, nie stanie. Nauka St. Simona rozwija takie wychowanie. Tam naród sam zajmuje się wychowaniem młodego pokolenia, kierunek i ster oświaty naród zasobami narodowości prowadzi, wszystkie dzieci kształcą się w téj publicznéj narodu szkole.

Jeżeliż duch narodu, wyższe ma stanowisko niżeli duch pojedyńczego człowieka, jeżeli tam prawdziwsze jest objawienie się Boga, niżeli tu, można śmiało uczynić wniosek, że pokolenie przyszłe przez naród wychowane, więcéj będzie wychowańcem Boga, niżeliby nim było przez rozpojedyńczone wychowanie rodziców. Dopiero takie wychowanie będzie prawdziwie narodowe, bo się na całym gruncie narodowym rozwinie; tam piasek zostanie piaskiem, szczérk szczérkiem, mursz murszem, aczby w książęcych leżał posiadłościach; a dobra, czarna, sandomierska ziemia, nie porośnie bez pożytku chwastem i lasem. Dopiero takie wychowanie najbujniejsze przyniesie żniwo, bo wszystko ziarno narodowe będzie zasiane, a im większy siew, tém większy zbiór; im więcéj ziarn, tém więcéj w nich ziarn dobrych, które dotąd dla tego, że je nie ma kto w uprawną rolę wrzucić, niszczeją massami na powierzchni ziemi. Nakoniec takie dopiero wychowanie rozwinie postęp oświaty i dziejów, uszlachetni i uzacni rodzaj ludzki, bo naród się uzacnił we wszystkich jednostkach swoich, wszystką dziatwę swoją powołał porówno, i usposobił porówno na przyszłych pracowników i kierowników w dziele oświaty i postępu. Naród tym tylko sposobem stanie się, czém być może, bo wszystkie zasoby ducha w młodem pokoleniu zebrał, i wszystkiemi siłami, na jakie go stało rozwinął.

Jak dalekiem jest jeszcze dzisiejsze drobiazgowe wychowanie od powyższego wychowania narodowego, każdy łatwo odgadnie. To łatanina staréj sukni. Pozszywane tu owdzie łaty, na wydatniej-

szych miejscach po kawale czerwonego, jaskrawego sukna, a reszta bibułą jako tako zaklejona, to świąteczna suknia oświaty, którą się wieki nasze poszczycają. A ileż to jeszcze miejsc i okolic, gdzie nie ma się czém okryć, i lud aby nagość swą przed ostrością powietrza zasłonił, chodzi w brudzie ciał i z umysłu tłuszczy się i smoli?

Zastósowanie więc wychowania do dwóch połowic ludu, o których wyżéj mówiliśmy, jakby łatwe było przy ogólnem narodowem wychowaniu, tak na nieprzeparte natrafia trudności w obecnym stanie rzeczy. Nie biorąc atoli rzeczy, jakby być powinny, ale jak są, kilka rzucimy w téj mierze uwag.

Ważną jest rzeczą na całe życie człowieka, ażeby się zawczasu do powołania przyszłego sposobił, ażeby się nie omylił w jego obiorze, ażeby w końcu właściwy obrał sobie zawód życia, w którymby i sam się czuł szczęśliwym i do szczęścia drugich korzystnie się przykładał. Obiór ten i postanowienie może dopiero człowiek uczynić, kiedy w młodzieńcu rozwinęły się już siły ducha, kiedy poznał świat i jego stosunki. Czas wieku, aż do téj chwili wypełniony być musi takiém wychowaniem, z któregoby do każdego z łatwością mógł przejść zawodu. W tém właśnie cała leży trudność. Zwykle najpiękniejszy czas wieku na naukowem ukształceniu schodzi, a młodzieniec po ukończeniu szkolnéj edukacyi nie poznał ni świata, ni ludzi, ni powołania, ani się zastanowił do czego go chęci i zdolności wiodą. Wszystko mu obce, co jako stan, przed nim się rozwiera, i dla tego na chybi trafi, puszcza się w pierwszy, lepszy zawód, i chybia często powołania.

Jeżeli jednak trudnem jest młodzianowi rozpoznanie stanów w szczególności, nie tyle trudnem jest rozpoznanie skłonności do jednego z głównych dwóch kierunków narodowego ducha, to jest do miejskiego lub wiejskiego życia. Sama fizyczność już tu często skazówką. Rodzice zatém i opiekuni wczas odgadując w młodym popęd do wsi lub do miasta, wczas go do rólniczego lub przemysłowego zawodu przygotowywać powinni. Zaraz zaś po odebraniu pierwszych zasad oświaty przez domowe wychowanie lub przez szkółki elementarne, rozpocząć się powinno na różnych zasadach wychowanie wiejskie i miejskie. Ogromne i tu i tam przed uczniem pole, i dla tego pospieszyć się należy. Tym tylko sposobem naród podzielony przez konieczność rzeczy na dwie różne połowy, na każdem stanowisku wypełni godnie powołanie swoje, i dopełni się w tych połowicach, do jednéj doskonałéj całości — o ile doskonałość być może na ziemi.

Główną zasadą wiejskiego wychowania będzie doświadczenie, realność, poznanie materyi we wszystkich jéj przedmiotach. Języki, umiejętności, sztuki piękne będą tylko okrasą tego wychowania. Rólnik żyje w przyrodzeniu, jest to księga nieustannie przed nim rozwarta, i biada rodzajowi ludzkiemu, gdzie ludzie tyle mają obojętności ducha, iż w téj księdze czytać się nie uczą, by poznali, co zawiera. A jednak tak się dzieje, nie zważając już na massę ludu wiejskiego, w ciemności jak w błocie zagrzęzłą, czegoż się nauczyli rólnicy nasi, których majątki dawały im środki kształcenia się, otwierały drogę stósownéj oświaty? znająż aby głoski w abecadle natury, żeby je w zgłoski i wyrazy składać potrafili, i wybadali choć znaczenie wyrazu, kiedy już nie myśli? Możnaż dziwić się przy takiéj niewiadomości gospodarzy, że rólnictwo od czasów Columelli tak małe uczyniło postępy? *(Dokończenie nastąpi.)*

Wyimki z listów moralnych, ukształceniu młodéj kobiety poświęconych.

Przez Julią T.....

Kochana Joasiu!

Czy też uważałaś wczoraj zadziwienie téj wymuszonéj panny B., jak usłyszała, że uczymy się polskiego języka? — »A to na co, ma chère! wszakże każda Polka mówi po polsku — a przecież to nie żaden obcy język. To tylko czcze prawidła do zawikłania myśli w waszych młodych główkach — croyez-moi, to próżne wymysły waszych nauczycieli — nie lepiéjby to przez ten czas tłumaczyć Telemaka, Robinzona, encyklopedyą, albo inną jaką równie mądrą książkę? Proście mamy, niech wzbroni waszéj madam takiéj niedorzeczności — biedaczki, wy jeszcze nie wiecie, wam ta nauka tak w głowie pomięsza, że trudno będzie przyjść do końca. Na co wam tego, teraz wszędzie mówią po francuzku — polskiego nie usłyszysz w salonie — do rzemieślnika ledwie mówi się po polsku, albo kiedy się rozkazuje służącemu; bywają już nawet Szwajcarki panny pokojowe — bo to lepszy ton, bo dzieci od małego uczą się dobréj wymowy, bo to miłe dla ucha.....« — Chciała daléj rozwodzić swoje pochwały, gdy ktoś jéj przerwał — a ja odetchnęłam. Taki mnie gniew był opanował, tak mnie jéj niedorzeczne rozumowanie oburzyło, że miałam już kilka słów dość przykrych na ustach. — Czy też to się godzi być takim półgłówkiem? Ona mówi, że języka polskiego nie warto się uczyć — no proszę — lepiéj przez ten czas kaleczyć bąkaniem starą jaką ramotę francuzką. Ręczę ci, że ona pomimo wysokiéj mądrości w żadnym języku listu nie

napisze porządnie — już w saméj mowie przebija obczyzna — plecie trzy po trzy, aż uszy bolą, a co słowo, to ma chère, a co chwila, to eh bien! — Oj! żal się Boże takich istot na naszéj ziemi! Nie umie to nic, a udaje, że mądre; małe, a puszy się; ciemne, a chce błyszczeć, choćby tylko szychem... Po co ona mieszka w Polsce, kiedy ma nas za nic — ha, spytać jéj o to mam chęć niezmyśloną. Zresztą takich osób jest u nas co niemiara. — Powiesz może, żem złośliwa — o nie, wcale nie, tylko mię gniewa, że ci wszyscy, co naszą kaszę jedzą, naszym chlebem żyją, w naszém słońcu się grzeją, za nasze złotówki paradują, szydzą z nas i targają się na to, co mamy najdroższego. Wszakże pies nie gryzie ręki swego pana, ani się rwie na dziecię jego, ani szczekaniem swojém przeszkodzi spoczynkowi jego — a ludzie, co gościnnie u nas przyjęci zostali, nie sąż gorsi od zwierzęcia, kiedy nawet językowi naszemu ujmują wartości?! — Może tobie utkwiła w głowie ta perora panny B., może przestaniesz się uczyć polskiéj grammatyki, robić wypracowania, może ci się podoba ta zszywanina tuzinkowych dowcipów i myśli tych tam Balzaków, Sandów, o których panna B. wspomina, jakby z nią wzrośli na jednéj ziemi. Oj zgroza, zgroza! — ani mi się kiedy śniło o podobnéj! Polka uznaje polski język niepotrzebnym, niemiłym dla ucha, chropawym dla podniebienia — wierzysz ty, że mnie się płakać chce, że ja téj p. B. nie cierpię, że ja nią tak gardzę, jak ona naszym językiem pomiata — to znowu litość mię jakaś bierze: ona nie wie sama co czyni i co mówi, trzeba jéj darować. Gdyby ją była matka wychowała, a to co innego; ale ona od lat najmłodszych oddana w ręce cudzoziemki, musiała się nią przejąć — żałujmy jéj. Dziękujmy Bogu, że mamy rozsądne matki, które nie uwodzą się trzęsidłem nastrzępionéj francuzczyzny. Chcą tylko, abyśmy umiejąc gruntownie język ojczysty, poznały także obce narzecza dla ich piśmiennictwa. Wszakże niedawno jeden poeta powiedział: że ptak każdy ma swą własną mowę, a namżeby jéj nie stało? — owszém pracujmy nad jéj wykształceniem; ona łączy wszystkie powaby — w niéj pisali ojcowie żale po swych córkach, w niéj zachęcali hetmani do boju, w niéj Skarga gromił bezprawia dworu, w niéj Karpiński pisał sielanki — a na wszystko znalazła czucia i wyrazu dosyć, bo w niéj jest skarb nieprzebrany. — Czerpmy z niego, pisujmy do siebie po polsku, czytujmy polskie dzieła, kochajmy polską ziemię, i bądźmy tak dobremi córkami, jak polskie nasze prababki! — Żegnam cię — Twoja — —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Nowa turecka powiastka. Przed kilku miesiącami wydrukowano w Konstantynopolu książkę pod tytułem »sto powieści«, którą na rozkaz Halila Baszy zaraz po wyjściu zakazano. Młodzież turecka sądziła się upoważnioną pod światłym rządem Reschida do rozszerzania nowych idei, oświaty i reformy i dla tego pozwoliła sobie w powiastkach nie jedno skreślić nadużycie. O duchu téj książki najlepiéj się przekonać można z następującéj powiastki:

„W Azyi żył przed laty sławny Szeik. Mieszkał w mauzoleum świętego, niewiadomego początku, którego pamięć jednak jako wzór cnoty prawdziwego muzułmanina była czczoną. Tysiące wiernych odwiedzało co rok grób jego, odnosząc niezliczone ulgi i uzdrowienia, w zamian za dary bogate. Jedni dawali oléj na utrzymanie wiecznéj lampy na bogatym grobie świętego, inni wiedli tłuste cielęta, inni jeszcze drobiazg i barany. Tak Szeik wolen był ziemskich kłopotów i miał dosyć czasu do rozmyślań głębokich nad przyszłością rodzaju ludzkiego. Z każdym dniem sława jego rosła, a młody derwisz, sługa jego i uczeń, czuł się szczęśliwym, że cząstka sławy i dni pięknych mistrza na niego spada, i że ma zaszczyt służyć tyle świętemu człowiekowi. Nakoniec udał się w świat i sam na własną rękę rozpoczął zawód z wielkiém dla siebie szczęściem. Stało się, że nowy sługa Szeika, dosyć głupi i leniwy człowiek, przez lat dziesięć usługiwał w mauzoleum, bez żadnéj żądzy szukania szczęścia, na wzór swojego poprzednika. Jednego dnia zawołał go Szeik do siebie, a trzymając osła za uzdzienicę, rzekł do niego: „Allah kerim, Bóg jest wielki! tu więcéj się u mnie nie nauczysz, mój synu, puść się w świat i pracuj. Siądź na osła, niech cię Allah i prorok prowadzą (vorlar assuun); jedź szczęśliwy!“ Uczeń ucałował z pokorą rękę człowieka świętego, wiódł osła za uzdzienicę z tym zamiarem, iż za ogrójcem świętego miejsca na niego siądzie. — Lecz niestety! po kilku krokach poznał, że osieł kulawy i tak się chwieje, iż na nim jechać niepodobna. Pożegnał się przeto z nadzieją ulżenia sobie, urznął kij mocny w pierwszéj krzewinie i przekonywał nim osła w najwymowniejszy sposób, iż naprzód ruszać powinien. Tak pędził go dzień cały aż późno w noc i byłby daléj jeszcze zaszedł, ale dni osła były policzone, zwierze łbem padło na ziemię, wyciągnęło się i zdechło. Derwisz myślał co tu czynić. Jeżeli osła pozostawię, mówił do siebie, to ciało jego gnić pocznie, jestem cudzoziemiec, pochwycą mnie, źle się obejdą, a może nawet mnie wybastonadują i łańcuchami skutego do więzienia wtrącą. Po takim namy-

śle postanowił osła tam gdzie padł, pogrzebać. Wykopał znaczny dół, wrzucił weń osła i usypał nad nim wzgórze, w sposób prawowierny; potém siadł znużony nad grobem po tak ciężkiéj pracy i opłakiwał gorzko swój stan opuszczony. Śród łez i narzekań ujrzał mnóstwo jeźdźców, którzy gonili przez dolinę. Na pięknych koniach i w bogatych ubiorach coraz więcéj zbliżali się do niego i ujrzeli nakoniec derwisza siedzącego na wierzchu grobowiska. Jeden z nich rzekł: „zapewne było tu dwóch derwiszów, jeden zmarł nadedrogą, ten ot co tu siedzi przeżył go i pochował.“ To miało wiele prawdy za sobą i rozczuliło wszystkich. Zbliżyli się przeto z wielką uprzejmością i spółudziałem do zasmuconego. Bogaty Bej, dowódzca orszaku, rzekł: „Bóg z wami i niech wam zdrowia użyczy. Widzimy, straciłeś brata, ale nie rozpaczaj, jesteśmy pobożni ludzie. Wystawimy mauzoleum nad woniejącemi popiołami zmarłego, będziesz ich strzegł, dla tego nie troszcz się o przyszłość!“ — Derwisz postrzegł, że nie należy mu dla własnéj korzyści przerywać mowy. Jęczał okropnie i szeptał śród łez rzęsistych: „Bóg jest wielki, łaska jego jest niezmierzona, ale ciężki to cios, takiego stracić przyjaciela, który tyle lat ze mną przeżył, a w czasie tym całym znajomości nigdy mi kłamstwa lub słowa obrażającego nie powiedział; był to prawdziwy wzór cierpliwości!“ — Po wielu pocieszeniach tą myślą dopiero się rozweselił, że zgasłym szczątkom cześć będzie oddawaną, — jedném słowem: zbudowano wspaniałe mauzoleum, wieczną lampę zapalono na grobie, derwisza osadzono tam jako Szeika, a tłum wiernych zbiegał się ze wszystkich stron do grobu nowego świętego. Z czasem stało się mauzoleum to najsławniejszém na całą Azyą, sława Szeika nie miała równych, nawet nie dziwiły już niezliczone cuda, które tu się działy, lub że popioły nowego świętego chromych, ślepych i trędowatych uzdrowiały. Stary Szeik, dawny pan nowego, poznał, że sława jego na tém cierpi, i postanowił odwiedzić szczęśliwego współzawodnika, życząc sobie w duchu, poznać choć odrobinę téj mądrości, która sławę jego przyćmiła. Podróż była daleką, odbywał ją przecie z chciwością, a przeto łatwo. Któż opisze jego zadziwienie, kiedy wchodząc do grobu, poznał dawnego sługę swojego, którego dla głupoty niepoprawionéj odpędził. Tamten także go poznał, ale żaden z nich ani znaku po sobie nie pokazał i już Szeik nowy cieszył się, że pamięć starego pana zupełnie zagasła. Oddał staremu Szeikowi musafir czyli pozdrowienie i przez kilka dni modlili się społem nad grobem św. Pewnego wieczora, będąc sam na sam ze sobą, starszy schylił się do ucha młodszego i szepnął po cichu: „niechaj ci Allah długiego życia użyczy, ale przez jakie cudowne zrządzenie losu nabyłeś takiéj sławy?“ Drugi z pokorą odpowiedział: „mój ojcze — wszystko zawdzięczam biednemu, kulawemu i umierającemu osłu, któregoś mi dał na wyjeździe. Oto grób jego, cała zasługa jemu się należy.“ Długo siedział stary Szeik w głębokiém zamyśleniu i gładził brodę, potém wzniósł oczy do góry. „Allah kerim!“ szeptał sobie — „Bóg jest wielki, vai adjaceb, to jest szczególniejsza, bo trzeba ci wiedzieć, że w mauzoleum, w którém ja tyle sławy i korzyści nabyłem, kości ojca twojego osła spoczywają.“

Partya wista. Prawie przez cały wieczór graliśmy w wista, opowiada jeden Anglik o swym pobycie w Indiach. Maxey miał wielkie szczęście, zawsze wygrywał; twarz jego pałała wesołością, kiedy na innych smutek się malował. Naraz zmienił się wyraz jego twarzy, począł się wahać, lubo dawniéj z największą grał pewnością. »Pospiesz się Maxey, nad czém się tak długo namyślasz?« zapytał Churchill. — »Czy panu niedobrze?« pytał drugi, chcąc powstać. — »Na miłość Boga zaklinam cię, zostań na miejscu,« odrzekł Maxey z przerażeniem; »jeżeli cokolwiek tylko cenicie życie moje, bądźcie spokojni. Jeżeli kto z was się ruszy, już po mnie.« Patrzeliśmy jeden na drugiego zdziwieni, on zaś dodał, »jeszcze mam trochę nadziei, cobra de capello uwiązała się u nogi mojéj.« — Chcieliśmy mimowolnie dla bezpieczeństwa własnego poodmykać krzesła nasze, ale wzrok błagający przyjaciela wstrzymał nas; wiedzieliśmy dobrze, że wąż opuszczając Maxeya, aby innego pochwycić, ukąsi go, a każde ukąszenie o śmierć niechybną przyprawia człowieka. Biedny Maxey miał krótkie spodnie na sobie i jedwabne pończochy, czuł więc każde poruszenie węża. Zbladł jak trup, zaledwie ruszał ustami, wymawiając słów kilka do nas, prawie nieoddychał, tak obawiał się niepokoić swego nieprzyjaciela i przyspieszyć swą zgubę. Przestrach i nas równy opanował. »Przynieście mleka, proszę was w imie boże. . . . Postawcie miskę mleka obok mnie i wylejcie go cokolwiek na podłogę,« rzekł po niejakim czasie. — Służący pobiegł czemprędzéj . . . . . »Mój los wkrótce się rozstrzygnie,« mówił daléj nieszczęśliwy. »Zostawiłem w Europie żonę i dwoje dzieci, powiedźcie im, żem ich błogosławił umierając. Ostatnie wspomnienia moje do nich należą . . . Teraz wyżéj po za kolana wije się . . . . Czuję jego oddech! O Boże, tak więc mam umierać!« — Mleka przyniesiono, służący je postawił i oddalił się jak śmierć blady. »Nic nie pomoże,« mówił daléj Maxey, »coraz mocniéj się opasuje . . . Nie śmiem

na niego spojrzeć . . . Boże przyim duszę moją, zlituj się nademną grzesznym . . . Teraz cokolwiek popuszcza mnie . . . . Czyli do was którego chce się przenieść? Nie, to mleko zwabia go . . . . Nieruszajcie się, on mnie opuszcza, miejcie się na baczeniu. Churchillu, ja sądzę, że on ku tobie rusza.« Churchill siedział jak wryty. Maxey pojrzał pod stół. Wąż opuścił nogę i mleko pije. »Jestem ocalony!« zawołał, powstając i krzesło odepchnął, by paśdź omdlały w ręce wiernego sługi, który go też wyniósł. Nie potrzeba tu dodawać, żeśmy się wszyscy wynieśli. Węża zabito pałaszem, kiedy przez okno się wynosił. Przypadek ten jednak pociągnął złe skutki za sobą. Maxey nie mógł przyjść do siebie z przestrachu, chorował lat kilka i wcześnie przeniósł się do wieczności.

MODY. — Paryż, dnia 21. Września 1841. We wielkich składach modnych pełno ubiorów jesiennych, lecz ich jeszcze nie wykładają, dla tego też ich nie opisuję.

Grzebienie do wstrzymywania włosów upowszechniają się z każdą chwilą, fabrykanci grzebieni zaledwie ich dostarczyć mogą; złotem je wykładają.

Kapelusze noszą cokolwiek większe niż dawniéj. Wystrajają je częściéj liściem, aniżeli kwiatami; spód obwodu wstążkami zdobią.

Powietrze w swych przemianach nie zmienia się, dziś gorąco, jutro zimno. Znam damę, która na ośm dni wybierała się na wieś z tak wielkim kufrem, jakby na rok cały. Ma ubiory na zimne, chłodne i gorące dnie.

Zabawiłam się wczoraj wybornie u niéj, widząc przygotowania do podróży; kiedym żartowała z mnóstwa sukien przez nię zabieranych, odpowiedziała: »toż to przyczyna w porze roku teraźniejszéj. Na ośm dni letnich potrzebuję najmniéj czterech lekkich sukien; jeżeli zaś będzie dni ośm zimowych, natenczas powinnam mieć trzy suknie jedwabne watowane, przeciwnie zaś skoro mnie czeka niepewne powietrze jesienne, wówczas dosyć mi na dwóch bareżowych sukniach, ogółem więc dziewięć sukien na dni ośm, nie rachując w to negliżów i drobiazgów. Jako negliż uważam szlafroczek kaszemirowy, ciepły i lekki, według okoliczności. Drobiazgami nazywam suknię organtynową i kitajkową, których nie dobędę, czy słońce świecić lub deszcz padać będzie, wyjąwszy do tańca.

»Wielki Boże!« odrzekłam — »kiedy u pani to jest podobieństwem dziewięć sukien użyć w ośmiu dniach, wieleż pani potrzebować będziesz do nich szali?«

»Prawie równą liczbę,« odpowiedziała. — Ja na to krótko: „winszuję pani, ale mężowi nie zazdroszczę.“

Opis niektórych ubiorów:

Na ranny negliż. Szlafroczek z marselinu lilijowego, podszyty fijołkowym marselinem. Kołnierzyk z gładkiego muślinu, z rąbkiem w pasy ukarbowane i ufestonowane. Czepeczek z starych paryzkich koronek, orzucony pomponami z lilijowych wstążek atłasowych.

Negliż na wyjście. Szlafroczek z tkaniny wełnianéj kafowéj, z dużemi wyłogami z przodu, które kształt tworzą fartuszka, powłoka obszerna. Stanik z wyłogami i kołnierzem. Chusteczka z batystu haftowanego i ufałdowanego. Mantylla fantazyjna w ciemnym kolorze. Kapelusz słomkowy zdobny paskami aksamitnemi.

Ubranie na wieczorne towarzystwo. Suknia z indyjskiego batystu, haftowana i podszyta różowym grosdenaplem. Fontaże z różowéj wstążki u stanika i rękawów. Klejnot kameowy. Strój włosów stanowi gałązka drobnéj różyczki, w długich angielskich lokach. Wachlarz i bukiet.

Dla mężczyzn. Fraki z bardzo szerokiemi połami, prawie nie wycinanemi, tak jak w wieku przeszłym. Obok tych utrzymują się inne z miernie szerokiemi połami i wyłogami płasko na piersiach przystającemi. Kolory najpowszechniejsze, czarny, ciemno-zielony, bronzowy i jasno-niebieski. — Surduty robią z bardzo krótkiemi połami, obcisłemi rękawami, półobszernemi wyłogami. — Pantalony półobszerne.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut z kołnierzem szalowym, na dwa rzędy guziki i wielkie poboczne kieszenie. Pantalony w paski. Krawat kolorowy.
2. Jedwabny ściągany kapelusz z wystrojem wstążkowym. Suknia grodenaplowa, rękawy obszerne, zresztą gładkie. Szal we wzory. Mały parasolik.
3. Kapelusz jak u 2. tylko kwiatami zdobny. Suknia jedwabna, stanik pelerynowy bufkami osadzony. Rękawy obszerne, u dołu i u góry przeszyte.
4. Biały kapelusz atłasowy, strojny piórami dwubarwnemi. Szlafroczek z tkaniny pasiastéj. Stanik i rękawy gładkie i obcisłe. Peleryna aż ku ujęciu słaniająca się. Wystrój pasamonowy. Chusteczka oszyta falbanką koronkową.
5. Krótki surdut, z krótkim kołnierzem, na dwa rzędy guziki. Pantalony półobszerne. Krawat kolorowy.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



20.